

Eureka. Poemat prozą [część dziewiąta – ostatnia]

[XIX KOSMICZNY ETER]

[239.] Tak się złożyło, że po ogłoszeniu twierdzenia o stopniowym i perfekcyjnie regularnym zmniejszaniu się orbity Komety Enckego¹, po każdym kolejnym okrążeniu przez nią naszego Słońca, astronomowie byli niemal jednomyślni w opinii, że znaleziono rzeczoną przyczynę – że odkryto zasadę wystarczającą do wyjaśnienia, metodami fizyki, ostatecznego scalania się Wszechświata, które, powtarzam, ludzka skłonność ku temu, co podobne, symetryczne lub poetyckie, już wcześniej postanowiła pojmować jako coś więcej niż prostą hipotezę.

[240.] Za ową przyczynę – ów wystarczający powód ostatecznego scalania – została uznana niezmiernie rozrzedzona, aczkolwiek wciąż jeszcze materialna substancja przenikająca przestrzeń; substancja ta, w pewnym stopniu opóźniając przemieszczanie się wspomnianej komety, bezustannie osłabia jej prędkość tangencjalną², dając w ten sposób przewagę sile dośrodkowej, co, rzecz jasna, przyciąga kometę coraz bliżej po każdym okrążeniu i ostatecznie strąci ją na Słońce.

[241.] Wszystko to było ściśle logiczne, jeśli założyło się istnienie takiej substancji, czyli eteru, aczkolwiek założenie istnienia tegoż eteru jest najmniej logicznie, dokonane za ledwie na podstawie przesłanki, że nie można było znaleźć innego sposobu niż ten właśnie, by wyjaśnić zaobserwowane zmniejszanie się orbity owej komety, jak gdyby z tego, że nie mogliśmy znaleźć innego sposobu, by to wyjaśnić, wynikało, że żaden taki sposób nie istnieje. Oczywiście jest, że niezliczone przyczyny mogły działać łącznie, by zmniejszyć tę orbitę nawet bez możliwości naszego poznania choćby jednej z nich. Tymczasem nigdy dotąd nie zostało rzetelnie wykazane, dlaczego opóźnienie spowodowane peryferyjną atmosferą Słońca, przez którą kometą przechodzi w peryhelium³, nie wystarcza

¹ Kometą Enckego jest kometą o najkrótszym ze wszystkich znanych komet okresie obiegu, należąca do grupy komet Enckego. Odkrył ją Pierre Méchain w 1786 roku. Jej nazwa pochodzi od nazwiska niemieckiego matematyka, który w 1819 roku obliczył okres jej obiegu wokół Słońca [przypis red.].

² Prędkość tangencjalna jest składową prędkości niebieskiego prostopadłą do odcinka, który łączy obserwowany obiekt z jego obserwatorem [przypis red.].

³ Peryhelium to punkt na orbicie ciała niebieskiego, które obiega Słońce, usytuowany w miejscu największego zbliżenia (perycentrum) obu tych obiektów [przypis red.].

do wyjaśnienia tego zjawiska. To, że kometa Enckego zostanie pochłonięta przez Słońce jest prawdopodobne; to, że wszystkie komety układu zostaną wchłonięte, jest czymś więcej niż tylko możliwością, aczkolwiek w takim przypadku, prawo pochłaniania musi odnosić się do mimośrodowości orbity⁴ – do bezpośredniego zbliżania się do Słońca przez komety w swoich peryheljach; jest to prawo niewplywające w żadnym stopniu na ciężkie ciała niebieskie, które należy uważać za rzeczywiste materialne składniki Wszechświata. Co do komet, ogólnie rzecz biorąc, pozwólcie mi teraz zasugerować na marginesie, że nie możemy mylić się zbyt, patrząc na nie jako na rozbityski blyskawic w kosmicznych niebiosach.

[242.] Koncepcja spowalniającego eteru, a przez to ostatecznego scalania się wszechrzeczy, wydawała się jednak kiedyś ideą potwierdzoną przez ugruntowaną obserwację zmniejszenia się orbity Księżyca. W odniesieniu do zaćmień zarejestrowanych 2500 lat temu okazało się, że prędkość obiegu naszego satelity dookoła Ziemi była wówczas znacznie mniejsza niż obecnie i że na podstawie hipotezy, iż jego ruch na własnej orbicie jest zupełnie zgodny z prawem Keplera, co zostało dokładnie określone już wówczas, satelita ten obecnie wyprzedził pozycję, którą powinien zajmować, o prawie 9000 mil. Wzrost prędkości dowiódł oczywiście zmniejszenia się orbity i astronomowie szybko ulegali wierze w eter jako jedyny sposób wyjaśnienia tego zjawiska. Wtedy na ratunek pospieszył Lagrange⁵. Udowodnił on, że dzięki konfiguracjom sferoid krótsze osie ich elips wykazują zmienność długości; dłuższe osie są stałe; i że owa zmienność jest ciągła i oscylacyjna, tak że każda orbita pozostaje w stanie ciągłej zmiany z kołowej na eliptyczną albo z eliptycznej na kołową. W przypadku Księżyca, którego krótsza oś zmniejsza się, jego orbita przechodzi od kołowej do eliptycznej, skutkiem czego również maleje; jednakowoż, po niezmiernie długim okresie, ostateczna mimośrodowość zostaje osiągnięta. Wówczas, krótsza oś będzie się wydłużać, aż orbita stanie się kołowa; a wtedy ponownie nastąpi proces skracania i tak dalej, po wsze czasy. W przypadku Ziemi, jej orbita przechodzi od eliptycznej do kołowej. W ten sposób przedstawione fakty oczywiście znoszą konieczność założenia, iż istnieje eter, tudzież niwelują całą bojaźń przed niestabilnością Układu Słonecznego z powodu eteru.

[243.] Należy pamiętać, że sam przyjąłem założenie, co możemy nazwać eterem. Mówiłem o subtelny oddziaływaniu, o którym wiemy, że zawsze jest obecne w materii, lub ujawnia się tylko poprzez niejednorodność tejże. Do tego oddziaływania – nie śmiem w ogóle zajmować się nim, ani nawet próbować wyjaśnić jego zdumiewającej natury – już odniosłem różne zjawiska: elektryczność, ciepło, światło, magnetyzm, i, co więcej – witalność, świadomość i myślenie – jednym słowem, duchowość.

⁴ Ekscentryczności orbity [przypis red.].

⁵ Joseph Louis Lagrange, wł. Giuseppe Lodovico (Luigi) Lagrangia (1736–1813), astronom teoretyczny, matematyk i fizyk włosko-francuski, profesor Pruskiej Akademii Nauk w Berlinie, École normale supérieure i École polytechnique w Paryżu, członek Francuskiej Akademii Nauk oraz brytyjskiego Towarzystwa Królewskiego. Badat gravitację, stosował teorię liczb i mechaniki klasycznej do opisu mechaniki nieba [przypis red.].

Od razu wszakże okazuje się, że tak pomyślany eter różni się radykalnie od eteru astronomów, ponieważ ten ich jest materią, ten mój nią nie jest.

[244.] Wydaje się zatem, że koncepcja materialnego eteru odbiega zupełnie od idei scalania się Wszechświata, już wcześniej wykreowanej przez poetycką wyobraźnię ludzkości, zjawiska scalania, któremu okrzepła filozofia miałyby prawo – przynajmniej do pewnego stopnia – dać wiarę, jeśli nie z innego powodu, to dla owej poetyckiej wyobraźni, dla której je przyjęto. Aczkolwiek, jak dotąd, ani astronomia, ani zwyczajna fizyka nie powiedziały jeszcze, że cykle Wszechświata są wieczne, że Wszechświat nie ma dającego się pojąć końca. Jednakowoż, gdyby owego końca dowiedziono z tak czysto pobocznej przyczyny jak eter, instynkt przystosowania dany człowiekowi przez Boga zbuntowałby się przeciwko takiemu dowodowi. Powinniśmy wtedy byli być zmuszeni do traktowania Wszechświata z pewnym poczuciem niezadowolenia, jakiego doświadczamy, kontemplując zanadto złożone dzieło ludzkiej sztuki. Kreacja oddziaływałaby wtedy na nas jak niedoskonała akcja romansu, który kończy się niezgrabnie, w natłoku nakładających się zdarzeń zewnętrznych oderwanych od głównego wątku, zamiast wyłaniać się z samego łona fabuły – z serca przewodniej idei jako nieodłączne i nieuniknione rozwinięcie podstawowego założenia owej książki.

[XX TERAŹNIEJSZOŚĆ I PRZYSZŁOŚĆ WSZECHŚWIATA]

[245.] To, co uważam za zwykłe pojęcie symetrii powierzchni, będzie już teraz lepiej zrozumiałe. Jest to po prostu umiłowanie symetrii, przy pomocy którego omamiono nas ogólną koncepcją – a hipoteza Mädlera jest jedynie jej częścią – koncepcją przyciągania się ciał niebieskich w ruchu wirowym. Odrzucając tę oczywistą koncepcję fizyki, symetria praw dopatruje się końca wszechrzeczy, metafizycznie wiążąc go myślą o początku; szuka i znajduje załączek owego końca w pochodzeniu wszechrzeczy; dostrzega bezbożność założenia, że ów koniec prawdopodobnie będzie miał przyczynę mniej prostą, mniej bezpośrednią, mniej oczywistą, mniej artystyczną, niż poprzez reakcję na akt stworzenia.

[246.] Powracając zatem do poprzedniej sugestii, pojmujemy układy, pojmujemy każdą gwiazdę wraz z towarzyszącymi jej planetami jako po prostu istniejący w przestrzeni gigantyczny atom z dokładnie tą samą skłonnością do Jedności, która na początku charakteryzowała rzeczywiste atomy po ich rozpromienieniu w całej kuli Wszechświata. Skoro te pierwotne atomy pędziły ku sobie nawzajem po liniach prostych, to wyobraźmy sobie, przynajmniej ogólnie, prostoliniowe tory owych układowych atomów – gigantów skierowanych w stronę ich poszczególnych środków scalania się i tak oto, w tym jednoczesnym łączeniu się samych gromad w trakcie konsolidacji, dotarliśmy w końcu do wielkiego teraz – zadziwiającej terażniejszości – obecnego stanu Wszechświata.

[247.] Żadna irracjonalna analogia z jeszcze bardziej zadziwiającej przyszłości nie może być dla nas wskazówką przy formułowaniu hipotezy. Równowaga pomiędzy siłami odśrodkową i dośrodkową każdego układu jest z konieczności zaburzona po osiągnięciu przez niego pewnej bliskości do jądra gromady, do której należy, i wtedy musi od razu nastąpić chaotyczne lub pozornie chaotyczne opadanie księżyców na planety, planet na słońca i słońc na rdzenie; a ostatecznym rezultatem tego opadania musi być aglomeracja miriadów istniejących obecnie gwiazd na firmamencie w prawie nieskończenie mniejszą liczbę prawie nieskończenie majestatycznych sfer niebieskich. Niezmierzenie mniej światów będzie wówczas niezmierzenie większymi od naszego. Wtedy, zaiste, pośród niezgłębionych otchłani będą oślepiac swym blaskiem niewyobrażalne słońca. Aczkolwiek to wszystko będzie jedynie kulminacyjną wspaniałością zwiastującą wielki koniec. Ów koniec opisany w nowej *Księdze Rodzaju* może być odroczone zaledwie na chwilę. Przechodząc proces konsolidacji, same gromady z coraz większą szybkością pędzą ku swojemu wspólnemu środkowi, z tysiąckrotną prędkością elektryczną, współmierną tylko do swojej materialnej majestatyczności i do swego żarliwego duchowego pragnienia jedni. Te pełne splendoru pozostałości gwiazdnej braci błyskają i w końcu biorą się w objęcia. Zbliża się nieunikniona katastrofa.

[248.] Ale czym jest owa katastrofa? Widzieliśmy, jak dokonano się połączenie ciał niebieskich. Odtąd, czyż nie powinniśmy rozumieć jednego materialnego globu globów jako stanowiącego wszystko tudzież wszystko ogarniającego Wszechświata? Taka wizja byłaby w zupełnej niezgodzie ze wszystkimi założeniami i rozważaniami tej rozprawy.

[249.] Nawiązałem już do owej absolutnej wzajemności adaptacji, która jest specyficzna dla boskiej sztuki, naznacza ją boskością. Do tego momentu naszych refleksji, uważaliśmy elektryczne oddziaływanie za coś, co jest jedyną siłą sprawczą odpychania materii oraz jej istnienia w stanie rozproszenia, konieczną dla realizacji podstawowego celu jej istnienia; jak dotąd, innymi słowy, rozważamy rzeczony wpływ, jako ustanowiony na rzecz materii, by służył realizacji jej zamiarów. Z doskonale zasadną wzajemnością wolno nam teraz patrzeć na materię jako coś stworzonego wyłącznie dla owego wpływu, wyłącznie po to, aby służyć spełnieniu celów tego duchowego eteru. Za sprawą, za pomocą, za pośrednictwem materii, tudzież dzięki jej niejednorodności, ów eter objawia się, jego duch się indywidualizuje. Dopiero w rozwoju owego eteru, wskutek swojej niejednorodności, szczególne zlepki materii stają się ożywione, wrażliwe proporcjonalnie do swego zróżnicowania; niektóre osiągają taki stopień wrażliwości, który nazywamy myśleniem – tym samym zyskują one świadomą inteligencję.

[250.] W tym ujęciu jesteśmy w stanie postrzegać materię jako metodę, nie zaś jako koniec. Toteż jej cele zostały zawarte w jej rozproszeniu i ustają wraz z jej powrotem do jedności. Absolutnie skonsolidowany glob globów byłby bezcelowy, przeto ani przez jedną chwilę nie mógłby on nadal istnieć. Materia, stworzona dla końca, niewątpliwie,

po ziszczeniu owego końca, nie byłaby już materią. Postarajmy się zrozumieć, że ona by zniknęła i że Bóg pozostałby wszystkim we wszystkim.

[251.] Wydaje mi się szczególnie oczywiste, że każde dzieło z Boskiego poczęcia musi współistnieć i współumierać zgodnie z jego planem; nie wątpię, że postrzegając finalny glob globów jako pozbawiony celowości, większość moich czytelników będzie usatysfakcjonowana moim sformułowaniem – „przeto nie może on nadal istnieć”. Niemniej jednak, skoro myśl o jego natychmiastowym zniknięciu jest tak wstrząsająca, że nie możemy oczekiwać nawet od najpotężniejszych umysłów, iż ochoczo wezmą pod uwagę ów tak abstrakcyjny temat, starajmy się spojrzeć na tę koncepcję z innego, zwykleszego punktu widzenia – zobaczymy, jak rozumowanie pozwala nam precyzyjnie i pięknie na poznanie materii takiej, jaką ona jest w istocie.

[252.] Już wcześniej powiedziałem, że „przyciąganie i odpychanie są niezaprzeczalnie jedynymi właściwościami, poprzez które materia objawia się umysłowi, że jesteśmy usprawiedliwieni, zakładając, iż materia istnieje tylko jako przyciąganie i odpychanie – innymi słowy – że przyciąganie i odpychanie są materią; nie ma żadnego wyobraźnego przypadku, w którym nie możemy użyć terminów – «materia», «przyciąganie», tudzież «odpychanie» razem wziętych jako równoważnych, a tym samym wymiennych wyrażań logiki”.

[253.] Toteż sama definicja przyciągania pociąga za sobą osobliwość – istnienie części, cząstek lub atomów, ponieważ definiujemy je jako dążenie „każdego atomu” itd. do „każdego innego atomu”, itd. zgodnie z pewnym prawem. Oczywiście nie ma *żadnych* części tam, gdzie jest absolutna jedność, kiedy owo dążenie ku jedni jest zaspokojone, nie może być przyciągania, co zostało w pełni wykazane i cała filozofia to przyznaje. Kiedy zatem po osiągnięciu swoich celów materia powróci do swojego pierwotnego stanu bycia jednią, stanu, który zakłada wyparcie separującego eteru, którego możliwości ograniczają się do utrzymywania atomów rozdzielnie aż do tego wielkiego dnia, gdy ów eter nie będzie już potrzebny i gdy na koniec przytłaczające ciśnienie zbiorowego przyciągania zacznie dominować i go wyeliminuje, gdy – jak mówię – materia na koniec, eliminując eter, powróci do absolutnej jedności, to wtedy (mówiąc przez chwilę pozornie niedorzecznie) materia będzie materią bez przyciągania i bez odpychania, innymi słowy, materią bez materii, czyli, znowu, nie będzie już materii. Pogrzążając się w jedności, od razu pogrzy się ona w owej nicości, która dla każdej skończonej percepcji musi być jednością – w owym niebycie materii, który możemy pojąć jedynie przyjmując, iż została ona powołana do istnienia w akcie stworzenia, z woli Boga.

[254.] Powtarzam przeto: starajmy się zrozumieć, że ów finalny glob globów momentalnie zniknie i że Bóg pozostanie wszystkim we wszystkim.

[255.] Czy dotarliśmy do tego punktu, by się teraz zatrzymać? Bynajmniej. W kosmicznym scalaniu się i rozpadaniu jesteśmy w stanie łatwo wyobrazić sobie, że mogą oto nastąpić zupełnie inne warunki, inny przebieg stwarzania i rozpromieniania i powracania do samego siebie, inny może być przebieg działania i oddziaływania Boskiej woli. Umacniając nasze wyobrażenia wszechobecnym prawem praw, prawem periodiczności, czy mamy – doprawdy – jak najbardziej słuszne powody, ażeby wierzyć – powiedzmy raczej, żywić nadzieję – że procesy, o których ważymy się tutaj rozmyślać, będą odnawiać się już zawsze, na wieki wieków; a nowy Wszechświat nabrzmiewający istnieniem, a potem kłęsnący w nicość, będzie powstawać z każdym uderzeniem Bożego serca?

[XXI LUDZKOŚĆ]

[256.] A teraz – to Boże serce – czymże ono jest? Sercem – naszym własnym.

[257.] Oby tylko pozorny brak szacunku zawarty w tej idei nie zraził naszych dusz do trzeźwego używania świadomości – do spokojnego wglądu w siebie, dzięki któremu możemy zyskać jedyną nadzieję na osiągnięcie owej najwspanialszej prawdy prawd i spojzenie jej bez pośpiechu prosto w twarz.

[258.] Zjawiska, na których muszą się teraz opierać nasze wnioski, są zaledwie duchowymi cieniami, niemniej jednak w pełni substancjonalnymi.

[259.] Wędrujemy pośród przeznaczeń naszej ziemskiej egzystencji, otoczeni przez niewyraźne, aczkolwiek wszechobecne Wspomnienia jeszcze bardziej nieogarnionego Przeznaczenia – z bardzo zamierzczłych czasów, budzącego nieskończone zdumienie.

[260.] Przeżywamy naszą młodość szczególnie nawiedzaną przez takie sny – jednakowoż nigdy nie mylimy ich ze zwykłymi snami. Znamy je jako wspomnienia. W naszej młodości to rozróżnienie jest zbyt oczywiste, aby nas zwiść – nawet na moment.

[261.] Dopóki nasza młodość trwa, uczucie, że *istniejemy*, jest najbardziej naturalnym ze wszystkich uczuć. Zupełnie to rozumiemy. To, że był taki czas, w którym nie istnieliśmy – lub że mogło się tak zdarzyć, iż w ogóle nigdy nie istnielibyśmy – są to w istocie rozważania, które w naszej młodości trudno nam pojąć. Dlaczego mielibyśmy nie istnieć, jest aż do ery człowieka pytaniem ze wszystkich najtrudniejszym. Istnienie, samoistność, istnienie od wszechczasu do wiekuistości wydaje się aż do ery człowieka stanem normalnym i niekwestionowanym, wydaje się, ponieważ nim jest.

[262.] Teraz, jednakowoż, nadchodzi okres, w którym powszechna mądrość świata wybudza nas z prawdy naszego snu. Wątpliwość, zaskoczenie, tudzież niezrozumiałość pojawiają się w tej samej chwili. Mówi się: „Żyjesz, a był czas, gdy nie żyłeś. Zostałeś

stworzony. Istnieje inteligencja większa niż twoja własna i to jedynie poprzez ową inteligencję w ogóle żyjesz”. To są zagadnienia, z którymi zmagamy się, by je zrozumieć, lecz nie możemy, nie możemy, ponieważ owe zagadnienia są nieprawdziwe, są przeto, z konieczności, niezrozumiałe.

[263.] Nie istnieje żadna myśląca istota, która w jakimś momencie umysłowej iluminacji nie czuła się zagubiona w nawale daremnych mitręg, by zrozumieć lub uwierzyć, że istnieje coś większego niż jej własna dusza. Zupełna niemożność odczuwania przez czyjkolwiek duszę samej siebie jako gorszej od innej duszy; intensywne, przytłaczające niezadowolenie i bunt na myśl o tym, to wraz z wszechobecnymi zakusami na doskonałość tylko duchowe, zbieżne z materialnymi, usilne dążenia ku pierwotnej jedności, które są, przynajmniej wedle mego mniemania, rodzajem dowodu, co najmniej dalece przekraczającego to, co człowiek określa jako dowód – że żadna dusza nie jest gorsza od drugiej, że nic nie jest i nie może być lepsze od żadnej innej duszy, że każda dusza jest po części swoim własnym Bogiem, swoim własnym Stwórcą, jednym słowem, że Bóg – materialny i duchowy Bóg – teraz istnieje wyłącznie w rozproszonej materii i duchu Wszechświata, i że ponowne scalenie się owej rozproszonej materii i ducha będzie jedynie powtórным ustanowieniem czysto duchowego i indywidualnego Boga.

[264.] W takim i tylko w takim ujęciu możemy pojąć łamigłówni Bożej niesprawiedliwości, nieubłaganego losu. Jedynie w takim ujęciu istnienie zła staje się zrozumiałe i tylko w tym ujęciu staje się bardziej znośne. Nasze dusze nie buntują się już więcej z powodu smutku, który sami sobie narzuciliśmy, w dążeniu do naszych własnych celów z zamiarem – choćby nawet z daremnym zamiarem – przedłużenia naszej własnej radości.

[265.] Mówiłem o wspomnieniach, które nawiedzają nas w naszej młodości. Niekiedy powracają do nas nawet w naszej dorosłości i, przyjmując stopniowo coraz bardziej nieokreślone kształty, od czasu do czasu przemawiają do nas po cichu:

[266.] „Była epoka w nocy czasu, gdy istniała nadal istniejąca istota – jedna z absolutnie nieskończonej liczby podobnych istot, które zamieszkują dzielnice absolutnie nieskończonej przestrzeni”. Owa istota nie miała i nie ma mocy większej od waszej własnej, by przedłużyć poprzez rzeczywiste spotęgowanie radość swojego istnienia; wszak tak jak jest w waszej mocy, by rozdzielać lub ześrodkowywać swoje przyjemności (absolutna suma szczęścia pozostaje zawsze taka sama), tak też realizowała się i realizuje podobna zdolność przynależna owej Boskiej istocie, która tym sposobem przekazuje swoją wiekistość w odwiecznych cyklach łączenia samej siebie w jedność i prawie nieskończonego samorozpraszania. To, co nazywacie Wszechświatem, jest jedynie jej obecnym krzewiącym się obficie istnieniem. Odczuwa ona teraz swoje życie poprzez nieskończoność niedoskonałych przyjemności – szczątkowych i przemieszanych z bólem – doświadczanych przez niewyobrażalnie nieprzebrane mnóstwo rzeczy, które nazywacie jej stworzeniami,

a które naprawdę są jedynie nieskończonymi upostaciowaniami jej samej. Wszystkie te stworzenia, wszystkie te, które określicie jako ożywione, jak również te, którym odmawiacie przymiotu życia bez lepszego powodu niż ten, iż nie dostrzegacie go w działaniu, wszystkie te stworzenia mają, w mniejszym lub większym stopniu, zdolność do odczuwania przyjemności i bólu, ale ogólna suma ich odczuć jest dokładnie tą sumą szczęścia, która odnosi się, po sprawiedliwości, do Boskiej istoty, gdy ta jest ześrodkowana w sobie samej. Wszystkie te stworzenia są również mniej lub bardziej świadomymi inteligencjami, po pierwsze, świadomymi swojej własnej tożsamości; po wtóre, świadomymi, w jakimś nikłym, nieokreślonym przebłytku, tożsamości z Boską istotą, tożsamości z Bogiem. Z dwóch rodzajów świadomości, wyobraźmy sobie, że ta pierwsza będzie coraz słabsza, a ta druga coraz silniejsza. Niezmierzona ilość czasu musi upłynąć, zanim owe miriady indywidulanych inteligencji połączą się, gdy jaśniejące gwiazdy scalą się w jedno. Pomyślcie, że poczucie indywidualnej tożsamości stopniowo zostanie scalone z ogólną świadomością – że człowiek, na przykład, przestając niepostrzeżenie odczuwać siebie jako człowieka, wreszcie osiągnie tę nader triumfalną epokę, kiedy zrozumie swoje istnienie jako istnienie Jahwe. W międzyczasie pamiętajcie, że wszystko jest życiem, życiem, życiem w życiu – mniejsze w większym, a wszystko w duchu Bożym.

KONIEC

[Uwaga końcowa z manuskryptu Poego]

[267.] „Ból myśli, że utracimy naszą indywidualną tożsamość, od razu ustaje, gdy po dalszym namyśle rozumiemy, że proces, jaki wyżej opisano, nie jest niczym więcej lub mniej niż wchłonięciem przez każdą osobniczą inteligencję wszystkich innych inteligencji (czyli Wszechświata) do swojej własnej. Aby Bóg był wszystkim we wszystkim, każdy musi stać się Bogiem”.